



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. i sgr. 20.

Tradycja i postęp w życiu naszych kobiet.

Ludzkosc ma już poza sobą olbrzymią przeszłość znojęnej pracy w poszukiwaniu prawdy, której pragnienie jest właśnie jednym z najgłówniejszych dowodów duchowości człowieka. Pragnienie to, nigdy niespożyte, niczem niezwalczone, widzimy zawsze niby świetlaną smugę wśród wiru historycznych wypadków; raz ono ogarnia całe społeczeństwo swym ożywczym promieniem, to znów wre i rozsada piersi jednostek—aż nakoniec staje się powszechnem, wspólnem wszystkim ludziom, uczuciem.

Otóż, zmierzwszy myślą przeszłość, pytamy:—Czyliż praca tylu wieków i pokoleń miała być bezowocną i płoną? Wierząc w pierwiastek duchowy człowieka, trudno zgodzić się na to, by wszystko, co on myślał i czuł w przeszłości, było błędem; by prawda leżała tylko w przyszłości, lub była zdobywaną przez nowożytnych ludzi; by przed nami tylko było światło, a poza nami ciemność i mroki. Nie, i praojcowie nasi nieraz w trudzie i wysiłku myśli odsłaniali tajnie odwiecznej prawdy, a raz zdobyta jej część, nigdy już nie nikła wśród ludzkości; przysłał ją często wpływ inny, lecz zawsze snuła się ona złotą nicią wśród ciemnej przędzy błędu, podobna owej rzecie, która często nurt swój kryje pod ziemią na znacznej przestrzeni, by znów wytrysnąć na powierzchnię i dalej toczyć swoje czyste wody.

Weźmy pojęcia religijne, etyczne i obyczajowe ludów odwiecznych: snują się one jednym pasmem przez całą przeszłość ludzkości, od pierwszych niemal objawów jej życia duchowego; wszędzie i zawsze baczące a umiejętne oko badacza dopatrzy podobieństwa, i to właśnie, co zdoła wywieść swój

odwieczny rodowód, słusznie nazwanem być wino istotną prawdą; — co przypadło do ducha tylu pokoleń i ludzi, żyjących w rozmaitych czasach, warunkach historycznych, etnograficznych,—co zwycięsko przeszło przez kilkakrotną próbę sądu i krytyki. Gdy więc przeszłości przyznajemy możność zdobycia i posiadania prawdy, należy się jej cześć i uznanie, należy się również cześć i tradycji, temu jednemu głosowi przychodzącemu do nas z dalekich mroków dawnych czasów. Lecz jak w przeszłości czcimy to tylko, co jest dobrem i sprawiedliwym, co według naszego zdania jest prawdziwym, tak i z tradycji wybieramy tylko rzeczy wyższej wartości moralnej i pragniemy je przekazać przyszłości. To właśnie jest punkt, na którym najzupełniej zgadza się tradycja z postępem, będącym rozwinięciem i rozjaśnieniem odwiecznej prawdy, oczyszczeniem jej z pleśni i naleciałości wiekowych i przekazaniem w dalsze czasy, obok prawd zdobytych przez nowożytnych myślicieli. Postęp więc rozumnie, szlachetnie pojęty, nigdy nie jest zupełnem zerwaniem z przeszłością, nigdy nie rzuca jej obelg i nieprzyjaźnie nie wyzywa do walki; najpierw rozpatruje ją, sądzi, wybiera piękne i dobre strony, a szanuje i udoskonala prawe jej pojęcia, na tej podstawie tworząc dla przyszłości prawo i siłę, a dopiero z pozostałością błędu i ciemnoty walczy bezustannie, energicznie—walczy wszelką bronią.

Widzimy więc, iż tradycja może godzić się z postępem, co więcej, może być nawet podstawą, na której on się rozwija: dlatego-też słusznie jest, by tak w wychowaniu kobiet naszych, jak i w ich dalszem życiu wywierała ona swój wpływ dobroczynny, tembardziej, że pod tym względem naród nasz przechował jasne i czyste wspomnienie o życiu staropolskich niewiast. Tak się zapatrując na tradycję, łatwo bardzo znaleźć rozwiązanie pytania: czem ma być w przyszłości kobieta polska? czy z ducha i obyczaju pokrewną starszym siostronom, ale dojrzałą duchowo i samoistniejszą, czy inną

zupełnie istotą, urobiną moralnie i umysłowo, do warunków nowego życia?

Otóż, zdaniem naszym, powinna ona być podobną duchowo do swych prababek, z którymi jest spokrewnioną fizycznie, powinna być nawet dumna z tego podobieństwa, a jednocześnie uszlachetnioną, ubogaconą całym tym dorobkiem duchowym, jaki postęp i cywilizacja zebrała i wywalczyła dla niej. Zamiast więc rozpacznie szukać nowych torów i, jak daleki wędrowiec, niechęć przyjąć życzliwych wskazówek ludzi doświadczonych, dążyć ku nieznanym krainom bez pamięci na przeszłość, i temsamem utrudniać drogę, powinna kobieta polska rozpatrzeć się w moralnej spuściźnie staropolskich niewiast, spuściźnie wypróbowanej doskonałości, i z niej wybrać to, co było najwznioślejszego i najszlachetniejszego, to ukochać i uczynić najdroższym swym skarbem. A taką potęgę posiadając w sobie, może już wejść w świat szeroki zdobywać chleb, wiedzę, cześć i powagę u ludzi, wyrabiać sobie samostność w myślach i czynach i nabywać mądrość umiejętnego zaradzania, tak własnym potrzebom, jak i swoich najbliższych. Tak przygotowana, czujna na to wszystko „co myśl wieku dźwiga w głębi; co się w czasie zrywa, waży“, czujna na wszystkie nowe myśli i prądy społeczne, by skorzystać z chwili, gdy one podadzą jej pomocniczą rękę, stanie się godną pojęcia o ideale niewiasty nowożytnej, która chciałoby w niej widzieć obywatelkę-pracownicę, rozumnie spełniającą swe zadanie w olbrzymim kole pracy społecznej.

I całą potęgą przekonania postawić możemy staropolską kobietę, jako wzór dla nowożytnych Polek, bo ją w przeszłości zawsze i wszędzie uszanować musimy, bo pełno dochodzi do nas wieści o jej życiu prawem, szlachetnem i czynnem. Czy rządzi jako królowa i dla dobra narodu, dla wyższych ideałów, poświęca życie i miłość, czy jako świętobliwa księżna otula biednych i słabych szatą miłosierdzia lub godzi poważnionych panów;

POLKA I AMERYKANKA

POWIEŚĆ

przez

Sewera.

(Dalszy ciąg).

czy zbrojną dłonią odpiera najezdników; czy, wyprawiając męża i synów na harce wojenne, na usługi ojczyźnie, sama zarządza gospodarstwem, czuwa nad całą rodziną i jej mieniem, otwiera skarby, przetapia złoto i srebro, pożyczka, sprzedaje, zastawia i robi umowy, a pieniądze zebrane służy jako okup za najdroższych jeńców, lub często już tylko za ciało ich lub ściętą głowę: zawsze jest to istota rozumna i pełna poświęcenia; czy jako wychowawczyni synów bohaterów, jako matka miłośnem a jednak surowem okiem sądząca ich czyny, czy jako obywatelka wiejska pracą swą i troską przysparzająca majątku rodzinie, dobrobytu krajowi, czy jako owdowiała mieszcza, prowadząca handel lub przemysł męzowski, lub jako cicha pomocnica pracy męzowskiej w wieśniaczej zagrodzie: wszędzie zasługuje na nasz szacunek, budzi nieraz podziw i uwielbienie, świeci miłością ojczyzny i rodziny, ukochaniem dobra i prawdy.

Gdy więc oddajemy słuszną cześć naszym prababkom, toż tę samą cześć winniśmy i tradycji przez nie przekazanej: niech ona wydaje się nam niby cichym szeptem rady i błogosławieństwa, wymówionym przez usta drogie i doświadczone, niech będzie węzłem tajemnym, łączącym nas młodych i silnych z niemi, które już, jak powiada Żmichowska, „po trudach spoczęły“.

Rozpatrzmy się więc teraz w tej spuściźnie tradycji, pomyślimy: co możemy z niej zaczerpnąć przy wychowaniu niewiast naszych, co przekazać im tak naturalną drogą, jako zwrot tego, cośmy od matek naszych wzięły, a co już w ich młodych duszyczkach spoczywa, bezświadomie na mocy praw dziedziczności fizycznej i duchowej, praw uznanych przez naukę: należy więc tylko zbudzić te moce uspięne i powołać je do życia.

Najpierw zatem zapragniemy zbudzić moc wiary i miłości dla Boga, kraju, rodziny, dobra, prawdy i piękna, zdolność ukochania rzeczy wielkich i wzniosłych, siłę poświęcenia się dla tych wielkich ideałów ludzkości, tę potęgę niewiast staropolskich, przez którą stawały one nieraz na wyżynach bohaterstwa, a która nawet w życiu codziennem, wśród zwykłych jego trudów, była im gwiazdą przewodnią. Ta wiara i miłość szlachetna, żywa, rozpromieniając jasnem swem światłem wnętrze ducha kobiety nowożytnej, zrodzi czynny szlachetny i prawe, pobudzi do pracy użytecznej dla ukochanych wierzeń i ideałów.

Dalej, wybierzmy jeszcze z tradycji ową czystość ducha i obyczaj, która była charakterystycznym znamię niewiasty polskiej, a i dziś jest najwyższym przymiotem, przez który będzie ona zawsze dostojną i wzniosłą. Tylko tu postęp wywarł już swój wpływ dodatni i rozumny. Nic nie osłabiając potęgi godności niewieściej, pozwala on jej na zupełną świadomość, niechroniąc już od poznania tajemnic życia. Dziś kobieta wszystko znać może, wszystko może, niekiedy nawet powinna, rozumieć, — a nic to nie brudzi śnieżystości jej szaty; świadoma tajemnic wiedzy, świadoma pyłu i błota życia, zawsze stać będzie wyniosłą i majestatyczną, jeżeli posiada tę siłę moralną, jaką jest poczucie godności kobiecej.

Otóż i wszystkie główne cnoty staropolskich niewiast, zebrane w kilku słowach, cały kodeks tradycji ujęty w kilka zdań, kodeks, który dla kobiety polskiej będzie skarbnicą mądrości i dobrej rady w każdej chwili jej życia, czy to wśród gwałtownych burzliwych czasów, gdy fala wypadków bieży tak szybko, iż w godzinę lata przeżyć można, czy też wśród cichego, jednostajnego życia przy domowym ognisku. Jakiegokolwiek będą prawa, dzieje i uczucia kobiety w przyszłości, zawsze te przymioty, zawsze wszystkie razem, zdobyć ją powinny.

(Dokończenie nastąpi).

— I dlatego prosimy, aby i ojculek z nami pojechał. Same kobiety jesteśmy nieśmiałe i niezręczne, gdy wesołość tatusia, elegancja, dużo nam pomaga.

— A inaczej radziłybyście posłać go na cały dzień do sadzenia kartofli, aby na pospiechu robotnic oszczędził dwadzieścia centów...

— Dla mnie nie ma żadnego inaczej. Radabym ojculeka mieć zawsze przy sobie i z sobą.

W tej chwili zaturkotało od strony dworu.

— Patrz, patrz, wolancik Władzia i jego siwki. Sadzi się chłopiec na ekwipaż niepotrzebnie. Bo je się, abyś go nie zrujnowała, — bałamucisz go.

Na twarz dziewczynki wystąpiły silne rumieńce, i gdyby p. Edward był przezorniejszy i miał lepszy słuch, usłyszałby mocne bicie serca.

— Niczem dotąd nie zdradził swego uczucia, żadnem słówkiem — broniła się.

— Ale się zdradza wzrokiem, rumieńcem i westchnieniami.

— Możemy ich nie widzieć i nie słyszeć.

— I co ci z tego przyjdzie?

Dziewczynka milczała.

— Nie odpowiesz.

— Ależ, mój tatusiu, jeżeli przyjedzie, to zawsze w jakimś interesie. Gdybym była niegrzeczną, wyglądałoby to dziko. Mogłby się ze mnie śmiać i opowiadać w sąsiedztwach o mej niezręczności i braku taktu.

— Czyli inaczej, że pannie się podoba ładny chłopiec, wesoły, śmiały, rozumny, i gdyby zamiast dzierżawy miał wioskę wartości stu tysięcy...

Jadzia cała różowa przerwała:

— Tato, Tatusiu! nie masz litości nademną.

— Tobo go może wolała, niż wszystkich galicyjskich półpanków.

— Tato, bo ucieknę i zostawię cię samego.

— Tylko, że rozumek u dziewczęcia jest silny — mówił dalej pan Edward, trzymając za rękę córkę. — I ten to rozumek trzyma na wodzy serduszek, któreby rade uciec do Karczówki. Tak, tak widzę ją to dobrze. Rozumek każe jechać do Krakowa i biedaczka! jedzie.

— Mylisz się — zawołała dziewczyna, usiłując zapanować nad sobą. — Mylisz się, ojcze i dręczysz mnie. Zamknę się w swoim pokoju i nie pokażę się światu przynajmniej przez dwa tygodnie.

— Przepraszam — rzekł p. Edward spokojnie — przepraszam pannę Jadwigę i przysięgam, że już nigdy drażnić jej nie będę. Rób jak ci się podoba i jak chcesz, gdyż wiem, że dobrze zrobisz. Rozumiesz ty wybornie, że, chcąc godnie spełnić zadanie życia, potrzeba środków.

— Mój ojcze — odparła p. Jadwiga — pozwól mi postępować, jak nakazuje nam takt, dobre wychowanie i godność własna.

— Wybornie, wysmienicie, przednio! Powiedziałas z godnością królowej angielskiej, otwierając parlament. Gdybyś tę samą królewską miała względem Władzia....

— Bądź spokojnym, ojcze.

Przededworem, na gazonie, stała pani Balbina, zajęta żywą rozmową z Władysławem.

— Jesteśmy nareszcie, — odezwał się pan Edward.

Pani Balbina przymrużyła oczy, Jadzia, pod wrażeniem rozmowy z ojcem, zarumieniła się.

Władysław podbiegł przywitać wchodzących.

Dorodny był z niego mężczyzna, zbudowany jak officer od huzarów, duże, ciemne miał oczy — matową pleć, włosy ciemne i zęby białe.

— Jadąc na pocztę, wstąpiłem umyślnie dowie-

dzieć się: czy pan nie potrzebujesz ziemniaków do sadzenia?

Słyszałem, że ich zbraknie.

Jadzia spojrzała tryumfująco na ojca.

— Już pan słyszałeś, gdy ja się dziś dopiero o tem dowiedziałem.

— Jak zwykle — pochwyliła pani Balbina.

— Wyobraź pan sobie — mówił pan Edward — półtora tysiąca korcy ulotniły się podczas zimy.

— Spytaj się o to twego ekonoma i twych krów, — odparła głośno Balcia.

— Myślałem, że krowy są twoje: dziękuję ci za ten prezent — odpowiedział z uśmiechem pan Edward, a zwracając się do Władysława, dodał:

— Apetyty w Żurawnie dobre — nieprawdaz?

— Niech Bogu za to będą dzięki — dowód to wielkiej Jego łaski — rzekł z uśmiechem Władysław. — Ziemniaków mogę pożyczyć i czekać cierpliwie na odbiór, gdy będą nowe.

Jadzia po raz drugi spojrzała znacząco na ojca.

— Dziękuję kochanemu panu za tę sąsiedzką ofiarę, lecz Hartkiewicz powiedział, iż możemy sobie dać jakoś radę. No, i musimy sztukować. Umieć się obyć — to wielkie słowo.

— Zagadka szczęścia na tym padole płaczu, — dokończył Władysław filozoficzno-komicznie.

Balcia westchnęła, gdyż nie miała na razie nic do powiedzenia Jadwiga uśmiechnęła się serdecznie patrząc z zajęciem i przyjemnością na urodziwego młodzieńca, jego piękne oczy i szlachetne rysy.

— Zagadka szczęścia — wybornie powiedziane! — poświadczył pan Edward, zwracając się do córki.

— A zatem kwestya ziemniaczana upada. Formalki moje będą błogosławić Hartkiewiczowską energią i dążność do samopomocy.

— Tego jednego zazdroścę Anglikom — rzekł pan Edward z namaszczeniem.

— I ja — dodał Władysław.

— Tym egoistom zazdrościć czegokolwiek mogą tylko egoiści — odezwała się patetycznie pani Balbina.

— Mimo to zazdrościmy — rzekł Władysław.

— A zatem jesteście egoistami — poświadczyła Jadzia.

— Niestety, jesteśmy.

— Przyznajesz się pan do tego z zimną krwią?

— Przyznaję.

— Nie masz więc czego zazdrościć Anglikom.

— Przeciwnie: mam i dużo.

— Naprzykład?

— Choćby ich egoizmu, który ma cechy więcej cywilizacyjne, aniżeli u nas...

— Takie herezyze pan mówisz, że ich słuchać nie mogę — przerwała Balcia, wysuwając się naprzód ścieżką do dworu.

— Dokończ pan, proszę — odezwała się zaciekawiona Jadzia.

— Anglicy coraz więcej umieją widzieć własny interes w interesie ogółu.

— To się przecie nazywa miłością kraju.

— Jadzia dobrze rzecz określiła — poparł córkę pan Edward.

— Oni to nazywają dobrze zrozumianym interessem i w tem ich wyższość nad nami.

— W czem takim?

— Bo my w imię miłości musimy się poświęcać, gdy tymczasem, oni prowadzą tylko swoje interesy. Poświęcenie jest ciężkie i trudne, ma coś w sobie pokrewnego z męczeństwem; gdy dobre prowadzenie swych interesów, jest rzeczą pożądaną a nawet obowiązkową — często przyjemną i więcej zgodną z naturą ludzką. Oni prowadzą swoje interesy świetnie i mają rezultaty ogromne; a my poświęcamy się zaledwie i dlatego nasze sprawy ogólnie stoją słabo.

Dziewczyna nie nie odpowiadała, lecz głębokie zamyslenie świadczyło o pracy jej myśli.

— Utrzymujesz więc pan, że lepiej prowadzić dobrze interesy, niż się poświęcać — odezwała się, przedłużając rozmowę.

— Pytanie nie jest postawione jasno, czyli nie-sformułowane kategorycznie.

— Moi państwo! dajcie pokój kategorycznym sformułowaniom — oświadczyła z werendy mama.

— Wobec uśmiechu wiosny i jej czarów, rozkwit-

tających bżów i wesołego śpiewu ptasząt, prowadzicie uczone dysputy, suche i nużące.

— Przeciwnie — odparł żywo pan Edward — dyskusja stawała się zajmującą i już zaczynałem się dobrze bawić. Niepotrzebnie, moja Bolciu, przerwała.

Bolcia wzruszyła lekko ramionami.

— Wszędzie i zawsze szukasz zabawy. Wszyskiem — najdrobniejszą rzeczą umiesz się tylko bawić.

— Powinno to panią zachwycić — pochwycił żywo Władysław. — Prawdziwy artysta umie we wszystkim dopatrzeć harmonii.

Panna Jadwiga rozśmiała się szczerze i wesoło, zawtórował jej ojciec; pani Balbina, nie rozumiejąc ich śmiechu, poszła, nieco obrażona, do salonu.

Pan Edward, zapominając o rozmowie z córką i niebezpieczeństwie dla niej w towarzystwie Władysława, zaprosił go na obiad. Dobrze się z nim bawił i poświęcał się dla sąsiedzkiej zażyłości.

Przy obiedzie rozmowa potoczyła się swobodnie wesoło, często dowcipnie. Panna Jadwiga była ożywiona. Matka ze zdziwieniem i obawą patrzyła na córkę. Pan Edward nie widział, — on się tak wybornie bawił.

— Czy pan jedzie dziś do Krakowa?

Po tak raptownym a niespodziewanym pytaniu, rzuconem przez pannę Jadwigę, nastała cisza. Pani Balbina zarumieniła się; pan Edward patrzył znacząco na córkę.

— Czy ja pojadę? — powtórzył pytanie Władysław. — Jeżeli pani masz zamiar powierzyć mi nadzwyczajną misję...

— O nie, nie — rzuciłam pytanie bez żadnego projektu.

— W takim razie nie jadę.

Pani Balbina uśmiechnęła się słodko — pan Edward na znak radości zatarł ręce.

— Czwartek lub Sobota — mówił dalej młody człowiek — są to dnie uprzywilejowane mych wycieczek do Krakowa: a że dziś jest Poniedziałek.

— Dlaczegoż to dobrodziejstwo tylko we Czwartki lub Soboty spływa na Kraków? — spytała filuternie.

— Raczej na teatr. W Soboty przedstawiają zwykle nowe sztuki, w Czwartki dobre — a że przepadam za teatrem, tak, jak panie za strojami...

— Powiem panu prawdę — przerwała panna Jadwiga — dlatego się pytałam, że my dziś jedziemy.

— Ależ to podstęp — pochwycił Władysław.

— Sztuką ludzi biorą. Pewno się nie wyrzyłem podług brzmienia tekstu, lecz przyznał pan, że Jadzi się udało. — Rozśmiał się serdecznie pan Edward, wtórowała mu żona.

Władysław, zwracając się do panny Jadwigi, pochylił głowę, lecz nie przyznał ojcu, aby się jej udało — posmutniał widocznie. Być może, że pod wrażeniem smutku młodzieńca dziewczyna spoważniała, gdyż lepiąc, różę z chleba, milczała. Napróżno pan Edward wysiłał się, aby przywołać wesołość: nie wróciła. Czuć było w głosie młodzieńca rozdrażnienie. Z oczu dziewczyny wyglądał żal, lecz nie chciała naprawiać zrobionej przykrości; może miała ochotę cofnąć się, postanowiła jednak zwyciężyć się i wytrwać.

Powstano od stołu i podług przyjętego zwyczaju Władysław podał rękę Jadwidze. Zdawało mu się, że ręka dziewczyny zadrżała, jakby po niej przeszedł prąd elektryczny. Lecz młody człowiek był pewnym, że mu się tylko tak zdawało.

Po czarnej kawie konie zaszły; Władysław odjechał.

— Ej, ej dziewczyno, hazardujesz, ostrzegam cię — mówił wesoło pan Edward.

— Dajcie już pokój z temi filozoficznymi dzierzawcami — rzekła z arystokratycznym grymasem pani Balbina. Moja Jadziu, może ci to nawet szkodzić w opinii.

— Cóż mam robić?

— Nie zajmować się nim wyłącznie, nie bawić go tak zawzięcie i nareszcie nie śmiać się z jego dowcipów, często niezręcznych.

— Zwykle są zręczne, droga mamo.

— Tylko w twoich oczach.

— Również i w oczach ojca.

— Bo wyście dwoje odlani jakby z jednego kruszcza.

— Moja Balciu, nie zaciekać się w tego rodzaju subtelności — odparł małżonek, na co pani Balbina wzruszyła ramionami.

Panie poszły do swych pokoiów przebierać się na drogę — gdy pan Edward, kołysząc się na biegunowym fotelu, wyszukiwał zgrabnego sposobu pożyczania stu korey ziemniaków od młodego dzierżawcy, tak jednak, aby go nie ośmielać i nie poczuwać się do wdzięczności.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Lipcu 1883 r.

Zjazd pedagogiczny w Stryju. — Osada wakacyjna. — Roboty gospodarskie i pielęgnowanie zmysłu estetycznego w szkole ludowej. — Wykopalska Halicka. — Pierwszy polski zjazd archeologiczny. — Rozprawa Dra Wojciecha Urbańskiego: *O wpływie powietrza atmosferycznego na zdrowie i życie człowieka*. — Projekta literackie i wydawnicze. — Nowe pismo ludowe. — Pedagogiczni nauczycielskie. — Rękopisy Ludwika Nabelaka. — Wydawnictwa księgarni Łukaszczyka. — „Przyjaciel domowy” i „Gazeta wiejska”. — *Ziarno*. — *Przedświt*. — Przekłady poezji lirycznych i tragedji Schillera. — Dzieje stowarzyszenia rękodzielników „Gwiazda” przez Władysława Kozłaka. — Biblioteka „Mrówki”. — *Zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem*, opowieść dla ludu, przez Tatomirę. — Józef Jakubowicz.

Z końcem roku szkolnego pośpieszyli, jak zwykle o tej porze, nauczyciele szkół publicznych ze wszystkich stron kraju na zjazd pedagogiczny, który tym razem odbył się w Stryju. Ożywiło się na trzy dni do niepoznania miasteczko, uradowane, że miało u siebie tak licznych a miłych gości pracowników na niwie oświaty. Dla nauczycieli, zwłaszcza szkół ludowych wiejskich, są te zjazdy istotną, że tak powiem, ucztą umysłową, odświeżającą ducha całoroczną pracą, a co więcej, odosobnieniem miejskiem znużonego. Rozbiór ważnych zadań pedagogicznych, którego są świadkami i uczestnikami, otwiera pole nowych poglądów, prowadzących do ulepszenia systemu szkolnego, udoskonalenia nauki, i do tem gorliwszego zamilowania nauczycielskiego zawodu. Obok ogólniejszych rozpraw teoretycznych zajmują się doroczne zjazdy pedagogiczne potrzebami szkół miejscowych i sprawami bieżącymi, dotyczącymi nie tylko polepszenia systemu nauki, ale także położenia nauczycieli. Z uchwał na tego rocznym powziętych zjeździe, zasługuje na największą uwagę utworzenie w roku bieżącym *osady wakacyjnej*, dla dzieci pozbawionych możliwości użycia wakacji na zdrowem powietrzu w odpowiednich warunkach. Wprowadzenie w życie tej myśli, dawniej już poruszonej, ułatwiła uprzejmość kołomyjskiego oddziału Towarzystwa Tatrzańskiego, które z własnej pobudki odstąpiło na ten cel schronisko na Czarnohorze, dla turystów przeznaczone. Zjazd nauczycielski uchwalił z własnych funduszy sto guldenów; dwieście z ubocznych zebrano wpływów, i dzięki tej ofiarności, w chwili, gdy to piszę, kilkadziesiąt biednych dzieci, co się mniemały pozbawionymi uciech wakacyjnych, jedzie już z radością bijącym sercem i rozpromienionem obliczem w góry, gdzie ich czeka swoboda, zdrowie i wypoczynek, pod troskliwym opiekunów nadzorem, wśród majestatycznych widoków rodzinnej ziemi, której piękności poznać i podziwiać po raz pierwszy zapewno będą mieli sposobność.

Piękna to myśl i pożyteczna; a skoro raz początek zrobiony i pierwsze przełamane trudności, postara się niechybnie Towarzystwo Pedagogiczne, aby na przyszłość coraz więcej podobnych tworzyć zakładów na czas wakacji, w rozmaitych okolicach, dla ułatwienia korzystania z ich dobrodziejstwa ubogim dzieciom całego kraju.

Drugą ważną sprawą, którą, między wielu innymi, zajmował się tegoroczny zjazd pedagogiczny w Stryju, było zaprowadzenie do szkół ludo-

wych ćwiczeń w robotach gospodarskich, ogrodniczych i t. p., tudzież innych stosownych prac przemysłu domowego. Uskarżano się u nas z wielu stron, nawet w sejmie i poza sejmem, na zbyt teoretyczny wogóle kierunek systemu nauki w naszych szkołach. Obecna uchwała zjazdu pedagogicznego ma na celu uzupełnić systemat dzisiejszy i zwrócić go na bardziej praktyczne tory, co zwłaszcza w szkole ludowej jest koniecznym, jeżeli szkoła ma odpowiedzieć swemu przeznaczeniu. Dotychczas nauka praktyczna takich przedmiotów jak na przykład sadownictwo, pszczelnictwo i t. p., była uważana w szkole ludowej jako przedmiot uboczny, i zależało jedynie od dobrej woli i zamilowania nauczyciela, aby zajmować niemi uczniów w godzinach nadobowiazkowych. Tylko roboty ręczne kobiece w szkołach żeńskich uważane były za przedmiot obowiązkowy. Według obecnej uchwały należy porównać w tym względzie szkoły ludowe męskie z żeńskimi, i tak jak tutaj roboty ręczne, tak tam ćwiczenia gospodarskie zawiązać ściśle z programem nauki szkolnej, a nadto ułatwić zaprowadzenie ich przez uposażenie szkoły każdej potrzebnymi ku temu celowi narzędziami i przyborami. Obok zajęć gospodarskich na polu, w ogrodzie, pasiece, mają się chłopcy w szkole uczyć także robót przemysłu domowego, jak koszykarstwa, snycerstwa i t. p. W szkołach, gdzie niema nauczycielki, należy wyznaczyć stałe wynagrodzenie dla osób, któreby nauki robót kobiecych podjąć się chciały, jak na przykład żona nauczyciela, lub ktokolwiek z miejscowych. Na naukę rysunków zwrócono także szczególniejszą uwagę i orzeczone, że powinna głównie zasadać się na konturowaniu z natury przedmiotów z najbliższego otoczenia, a pod względem ornamentacyjnym mieć na baczeniu głównie przemysł domowy, każdej okolicy właściwy. Co do wypracowań stylistycznych i rachunkowych uznano, że w szkołach jednoklassowych miejskich należy usunąć zupełnie zadania pisemne grammatyczne, a w klasach wyższych uwzględnić bardziej, niż to się dzieje, potrzeby powszedniego życia, jak: pisanie listów, podań, rachunków gospodarskich.

Ciekawy jest pogląd ze stanowiska praktycznego na estetyczne, że tak powiem, znaczenie i wpływ, jaki szkoła na całe swe otoczenie wywierać winna. Zachodzi tu mianowicie pytanie: czy i oile szkoła przyczyniła się do upiększenia okolicy, jak na przykład do obsadzania drzewkami drogi gminnej, kaplic przydrożnych, krzyżów, do uporządkowania i upiększenia miejscowego cmentarza? Stan, w jakim się znajdują cmentarze, jest wskazówką moralnego i cywilizacyjnego stanu każdego społeczeństwa. Podniósł rzecz tę wymownie w sprawozdaniu przedstawionem zjazdowi, referent tej sprawy, professor Żuliński. Cóż jest szlachetniejszego i godziwszego nad pamięć o zmarłych? Co droższego dla każdego z nas serca nad mogiłę ukochanych osób? Co więcej przyczynić się jest zdolnem do podniesienia moralności, nad pamięć o życiu przyszłem? Cóż bardziej podniecić potrafi do czynów, mających dobro ogółu na względzie, nad cześć oddawaną tym, którzy dlatego ogółu pracowali i całe poświęcili życie? Z tego stanowiska zapatrując się na kształcenie szkoły, nie powinna ona dbać jedynie o kształcenie wiedzy uczniów, ale pielęgnować zarazem i rozwijać uczucia religijne i zmysł estetyczny młodych pokoleń. Do tego celu dążą uchwały ostatniego zjazdu pedagogicznego.

Halicz, zwrócił ostatnimi czasy uwagę świata uczonego. Wspomniałem pokrótce w poprzedzającym liście o odkryciu na polach tamtejszych, u ujścia rzek Łukwi i Łomnicy do Dniestru, w kilku miejscach fundamentów, będących widocznie szczątkami dawniejszych cerkwi i o dziele profesora Szaraniewicza, który, objaśniając naukowo rzeczzone odkrycia, dowiódł na podstawie źródłowych poszukiwań archiwalnych i zapisów kronikarskich, że szczątki tych murów są pozostałościami dawnego staro-książęcego Halicza, który w tem tu rozciągał się miejscu; a Halicz dzisiejszy jest już późniejszym z XIII wieku, na prawie Magdeburkiem założonym miastem. Na wezwanie konserwatora starożytnych zabytków Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, powołał wydział krajo-

wy kommissya, złożoną z archeologów i znawców sztuki, celem zbadania archeologicznych pamiątek Halicza i orzeczenia: w jaki sposób i w jakim kierunku mają być dalej prowadzone poszukiwania śladów dawnego grodu i badanie mogił w pobliżu się znajdujących, tudzież restauracja kilku starożytnych dzisiejszego miasta zabytków, mianowicie cerkwi parafialnej i kościoła Franciszkańskiego, przebudowanego niegdyś z cerkwi św. Pantaleona. Do składu tej kommissyi zaproszeni zostali z Krakowa, jako delegaci Akademii Umiejętności, członkowie tejże: konserwator Łepkowski, profesor Łuszczkiewicz, prof. Sokołowski, pp. Kirkor i Ziemięcki; a ze Lwowa: professor Szaraniewicz, konserwator wykopalisk professor Œwikliński, i były rektor Akademii Politechnicznej, professor architektury, Zacharyewicz. Kommissya ta, zjechawszy zeszłego tygodnia do Halicza, przez dwa dni zwiedzała i badała jego starożytne zabytki, budowle i wykopaliska: a badania te potwierdziły zupełnie poglądy professora Szaraniewicza, co do położenia dawnego Halicza. Odkryte fundamenta są niewątpliwie zabytkami starych świątyń, mianowicie cerkwi niegdyś zamkowej, i drugiej, prawdopodobnie Bogarodzicy, o której wspominają kronikarze, że była obronna. Przeznaczenie trzeciej, odkrytej budowli, mającej kształt wielobocznej rotundy, nie jest tak widocznym jak poprzednich. Mogła to być chrzcielnica, cerkiew lub też baszta obronna. Najmniej wątpliwości jest co do cerkwi zamkowej, której położenie odpowiada zupełnie temu, co o niej najstarsze zapisały kroniki, a mianowicie wzmianka następująca:

Gdy roku 1152—1153 książę tutejszy Włodzimirko, odprawił z niezem Piotra Borysławicza, posła W-go Księcia Izasława, idąc na nieszpory z zamku krużgankiem do cerkwi zamkowej, ujrzał Piotra zjeżdżającego z książęcego dworu na noc do Bolszowca i szydził zeń mówiąc:

— Oto pojechał, zabrawszy mi wszystkie grody moje...

Położenie odkrytych fundamentów i topografia całej okolicy potwierdzają przypuszczenie, że są to fundamenta tej właśnie, a nie innej, cerkwi. Z miejscowości ich rozciąga się szeroki widok poza Dniepr. Do pobliskiego Bolszowca, tegosamego, do którego odprawiony z niezem, zdążył na nocleg Piotr Borysławicz, z kądem widział go zjeżdżającego z zamku książę Włodzimirko. A że zamek był połączony, według słów kronikarza z cerkwią, przeto rozpoczęto w pobliżu naokoło poszukiwania szczątków: i oto zapuszczony w wielu miejscach świder, natrafił, niedaleko pod ziemią głęboko na opór kamienia, który według wszelkich najprawdopodobniejszych przypuszczeń, nie może być niczem innem, jeno fundamentem staroksiążęcego zamku.

Wszystko to nastęrczało kommissyi pole do wielu ciekawych uwag i wniosków naukowych, będących cennymi wskazówkami dla konserwatora, co do dalszych w tym kierunku poszukiwań. Ostatecznie postanowiono prowadzić dalej prace kosztem kraju, na co sejm przeszły już subwencją uchwalił, a następny zapewne ją jeszcze powiększy; tudzież przystąpić do restauracji starożytnej cerkwi parafialnej i kościoła św. Stanisława. Pierwsza ma być odnowiona w czystym stylu bizantyńskim, aby za wzór jego służyć mogła; odnowa zaś kościoła będzie dokonana z zachowaniem cechy romańskiej, nadanej mu przy przebudowaniu na kościół obrządku łacińskiego.

Na wniosek professora Sokołowskiego postanowiono też gromadzić starannie wszystkie znajdujące się przy odkopywaniu starych fundamentów dawnego Halicza wykopaliska, szczątki ornamentów, posadzek i wszystkie tym podobne pozostałości, rzucające światło na architekturę budowli lub ich pamiątkową przeszłość, i następnie po należytem odczyszczeniu i sklasyfikowaniu umieścić razem w osobnym zbiorze, który stanowić będzie archeologiczne muzeum pamiątek miejscowych w Haliczu.

Taki jest wynik czynności kommissyi halickiej; wszakże ma ona inne jeszcze szersze pod względem naukowym znaczenie. Był to pierwszy u nas zjazd archeologów, na którym, w ciągu dwudniowych dyskusji, poruszono oprócz głównego badania przedmiotu, wiele także innych ciekawych i

ważnych kwestyi naukowych, archeologicznych i historycznych, mianowicie na polu historii sztuki. Po tej pierwszej pomyślnej próbie zjazdu podobne zapewne częściej się już powtarzać będą w różnych stronach kraju; bo czyż nie znajdzie się w każdej niemal okolicy zasób pamiątek, przywiązanych do miejsca, godnych bliższego zbadania i naukowego ocenienia? W tym celu ogólnosc badań i wymiana poglądów, plon obfity przynieść może. Umiejętność, to grunt neutralny, na którym zacierają się drobne zaściankowe antagonizmy i stronnicze namiętności nurtujące w społeczeństwie; ona, torując drogę prawdy, prostuje ścieżki życia.

W księgarniach pojawiła się, chociaż wydana jeszcze na parę tygodni przed nadejściem złowie-szczych wiadomości z Damietty i Kairu, w osobnej książeczce rozprawa Dra Wojciecha Urbańskiego *O wpływie powietrza atmosferycznego na zdrowie i życie człowieka*. Uczony autor *Fizyki umiejętnej*, niegdyś professor tego przedmiotu na uniwersytecie tutejszym, skreślił w sposób przystępny a treściwy, z praktycznem uwzględnieniem stosunków miejscowych, naszych zwyczajów i obyczajów domowych, higieniczną teorią wpływu powietrza na zdrowie ludzkie. Na wstępie wykazuje istotę i składniki powietrza atmosferycznego, na podstawie najnowszych badań naukowych, tudzież rozmaite rodzaje zakażenia powietrza, przestrzega przed szkodliwością miazmatów, podając sposoby zapobieżenia złym skutkom, występującym się częstokroć w postaci groźnych epidemii i nieuleczalnych chorób. Sprowadzając rzecz na pole praktyczne, rozpatruje stosunki sanitarne i zatrudnienia rozmaitych warstw społeczeństwa, podaje higienę pałacu i chaty, pracowni rękodzielniczej i wielkich fabryk: słowem, obejmuje całość przedmiotu, nie pomijając wskazówek i ostrzeżeń niezbędnych dla zwalczania tych tak wielu nieprzyjaciół, które pod postacią najrozmaitszych gazów, bakterii, grzybków, zarazków i t. p., czyhają niewidomie na nasze zdrowie i życie. Rozprawa Dra Urbańskiego jest wybornym przewodnikiem higienicznym, umiejętnym doradcą, lekarzem domowym, którego przestrogi skuteczniejsze być mogą, niżeli pliki recept i wszystkie środki apteczne, po niewczasie zadane, gdy szkodliwe pierwiastki, któremi oddechamy, zaszczepią w organizm zarodki nieuleczalnych chorób, i rozgospodarują się w nim namiękne.

(Dokończenie nastąpi).

UCZUCIOWI

KOMEDIA W DWÓCH AKTACH

przez

Józefa Blizińskiego.

(Dalszy ciąg)

SCENA III-cia.

Kamilla (chodzi po scenie z rękoma na sercu, jakby chciała słuszyć jego bicie). Radca (wszedł przed chwilą i widział pożegnanie dwojga młodych).

Radca (n. s.).

No, Bogu dzięki, duch wstępuje we mnie, przynajmniej ona nie padnie ofiarą (p. c. zbliża się naprzód sceny); tylko mi się nie podobało, że uciekł, zobaczywszy mnie: jeżeli rzeczywiście miał zamiary, powinien był korzystać z sposobności i rzucić mi się do nóg (p. c.). Ale czegoż ona płacze? Bogiem a prawdą, to i on pomimo tych czułości miał nos jakby spuszczone na kwintę (głośno z obawą). Kamilciu!

Kamilla (ociera oczy).

Ojezulku, dlaczego chodziłeś tak prędko po alei? Ja widziałam zdaleka. Wszak wiesz, że ci to szkodzi (rzuca mu się na szyję).

Radca.

E! co tam! ale co tobie jest moje dziecko? czego płakałaś?

Kamilla.

To z szczęścia, ojezulku, z wielkiego szczęścia!

Radca.

Z szczęścia? (patrzy jej w oczy). Naprawdę? (n. s.) kamień spadł mi z serca (z dyskretyą). Czy ci się oświadczył?

Kamilla (z uśmiechem).

E, on to już dawno zrobił.

Radca.

Dawno! i nie powiedziałaś mi nic.... ty, ty.... wstydz się!

Kamilla.

Chowałam ci to na niespodziankę.

Radca.

No, dobrze, więc się oświadczył.... a teraz cóż było?

Kamilla.

Teraz, dał mi dowód swojej wartości, przekonał, że godzien kochania.

Radca.

Od pierwszej chwili, gdy go zobaczył, byłem tego zdania.... bardzo zacny młodzieniec... a prztem partya, jaka się nie codzień trafi.

Kamilla (n. s. ogląda się).

Ah! Boże.

Radca.

No, ale, skoroście się już porozumieli...

Kamilla (p. c. wiesza mu się u szyi).

Ojezulku, czy ty pragniesz mojego szczęścia?

Radca.

Zkąd-żeś wyjechała z takim pytaniem?

Kamilla.

Gniewasz się!

Radca.

Powiedz wyraźnie, o co ci chodzi—proszę cię.

Kamilla.

Bo, widzisz... niespodzianie zaszły okoliczności, które zupełnie zmieniły stan rzeczy.

Radca (n. s.).

Matko bolesna! już się chyba dowiedziała.

Kamilla.

I teraz więcej niż kiedykolwiek, potrzebuję być pewną twojego serca.

Radca (z obawą).

Czy ty to mówisz à propos Floryana?

Kamilla.

Wyobraź sobie, robi skrupuły.

Radca.

Cofa się!

Kamilla.

No, niezupełnie.

Radca (z goryczą).

To jest, niby odkłada to do pewnego czasu—gdy okoliczności....

Kamilla (*prędko*).

Zkąd-że wiesz o tem?

Radca.

Domyślam się.... o! rozumiem go aż nadto dobrze.... oczywiście już wie, bo nie się nie rozchodzi tak prędko, jak jak zła wieść... ale co za niski sposób myślenia....

Kamilla.

Przepraszam ojca, dumną jestem z tego, że posiadam jego miłość.

Radca.

Jakto? gdy po uroczystem słowie, jakie daliście sobie, związa chorągiewkę? Nie mogę go nazwać inaczej, jeno spekulantem o miedzianem czole.

Kamilla (*n. s. ogląda się*).

Ah, mój Boże, jeżeli on tam słucha.

Radca.

Otóż napatrz się: jacy to są ludzie, myślisz, że wszyscy mają uczucie na pierwszym względzie, tak jak my? o! moje dziecko.

Kamilla.

Ależ ojciec chyba nie pojmuje pobudek.... Floryan tem właśnie daje dowód wielkiej szlachetności.

Radca (*zdziwiony*).

Szlachetności?

Kamilla.

Tylko nie przypuszczał, żeby ojciec pozwolił na nasze połączenie.

Radca (*j. w.*).

Wątpił o tem?

Kamilla.

A tak! bo widzi ojczulek.... on, zacząwszy się starać o mnie, nie nie wiedział, że....

Radca (*ironicznie*).

Tak, ale się nareszcie dowiedział.

Kamilla (*nieśmiało*).

Dziś, przypadkiem, niespodzianie, że....

Radca.

Wiem już, wiem.... że z majątku nie i duch mu się stłukł (*chodzi i chłodzi się kapeluszem*).

Kamilla.

Jakto? wie ojczulek? Floryan jest tego przekonania, że teraz odmówisz mu mojej ręki.

Radca (*zatrzymuje się*).

Odmówię? ja? nie! albo mnie się klepki w głowie poprzewracały, albo ona mówi w gorączce. (*p. c.*) No, dobrze, słuchaj-no: a jak pozwolę, to co?

Kamilla.

To będziemy najszczęśliwsi.

Radca.

Więc pozwalam—jestem wspaniałomyślnym.

Kamilla (*uradowana*).

Pozwalasz! pomimo tego wszystkiego?

Radca.

Pomimo tego wszystkiego.

Kamilla (*rzuca mu się na szyję*).

Oh! ojczulku najdroższy! on tak już stracił wszel-

ką nadzieję, że wyrzekł jej się i postanowił dziś odjechać.

Radca (*z wybuchem*).

No, to także ci było powiedzieć odrazu! Przeczuwałem to: pojedzie, bądź pewna i nie dogonisz go. (*chodzi j. w.*)

Kamilla.

Ależ on nie miał odjeżdżać nazawsze, byłby powrócił, zdobywszy sobie pozycję.

Radca.

Kto?

Kamilla.

No, Floryan.

Radca.

Czy oni bzika dostali? Pocóż jemu szukać pozycji, kiedy ma najlepszą jaką być może: czyż nie jest spadkobiercą generałowej?

Kamilla.

Mój Boże, to ojczulek nie wie, że on już nie od niej nie dostanie?

Radca (*gwałtownie*).

Jakto?

Kamilla.

Sam mi to wyznał.

Radca.

Wyznał ci?

Kamilla.

Tak.

Radca.

I dlatego niby robi skrupuły?

Kamilla.

Tak.

Radca.

Pod pozorem, że ma wątpliwość, czy ja zezwolę?

Kamilla.

Oczywiście.

Radca.

O, przewrotności! o, obłudo!

Kamilla (*zdziwiona*).

To ma być przewrotnością i obłudą, że nie chce działać podstępem i grać brudnej komedii, dla pozyskania żony?

Radca.

Nie chce grać komedii! on! a przecież to komedyant, jakiego świat nie widział!

Kamilla.

Jezus Marya! (*idzie w głęb' i patrzy na wszystkie strony*) Szczęście, że go niema nigdzie (*wraca*).... Ależ, ojeże!

Radca (*chwytą ją za rękę*).

Nie domyślasz się, dlaczego przywdział tę mąską obłudnego świętoszka?.... co? to wytłómaczyć mi: dlaczego to zrobił właśnie w chwili, gdy się dowiedział, że nie masz posagu.

Kamilla (*zdziwiona*).

Nie mam posagu?

Radca (*patrzy na nią, onieśmielony nagle*).

No, tak, wszak wiesz.

Kamilla (*j. w.*).

Nie nie wiem.

Radca (*zrozpaczony*).

Co! nie nie wiesz! (*złamany, siada na ławce z prawej strony*).

Kamilla (*całuje go*).

Więc mnie ojczulek wydziedzicza?

Radca (*po długim milczeniu, cichym głosem*).

Z czegoż się będę wydziedziczał, kiedy sam nic nie mam?

Kamilla.

Na Boga! cóż się stało?

Radca.

Kamilciu (*placze głośno, p. c.*) miej litość nademną, nie złorzecz mi.... (*wstaje*).

Kamilla (*rzuca mu się na szyję*).

Ja-bym ci miała złorzeczyć! ojczulku! co mówisz!

Radca (*ściska ją*).

O, ja wiem, żeś do tego niezdolną, jesteś dobre dziecko, ale każde twoje słowo jest mimowolnie wyrzutem dla mnie,—Kamilciu! jeżeli zbłądziłem, to tylko z wielkiej miłości dla ciebie.

Kamilla.

Zbłądziłeś? ty? nie wierzę!

Radca.

Pan Bóg mnie karze! a przecież pobudki, które kierowały mojem postępowaniem, były czyste; przysięgam ci.

Kamilla.

O, czyż potrzebujesz przysięgać.

Radca (*p. c.*).

Kamilciu! pamiętasz ty matkę?

Kamilla.

Matkę? niestety, bardzo mało: wszak miałam dopiero piąty rok, gdy umarła....

Radca.

Może, gdyby była żyła, nie byłoby przyszło do tego. co później nastąpiło; bo była to kobieta zasąd surowych, posuniętych często aż do przesady, z tego powodu nawet, mimo tysiącznych zalet, chłodna—ja znowu więcej rządziłem się sercem, ulegałem jego porywom.

Kamilla.

O, ja wiem.

Radca (*p. c.*).

Widzisz—na rok jakiś przed jej śmiercią, umarł jej brat cioteczny, a ojciec Zosi, zostawiając córkę wraz z dosyć znacznym majątkiem, pod moją kuratelą i opieką.

Kamilla (*żywo*).

Więc Zosia ma majątek?

Radca.

Ma.

Kamilla.

Dlaczegoż nie wie o tem?

Radca.

Bo jest jeszcze małoletnią; zresztą, wie już i ona.

Kamilla (*p. c.*).

Ma majątek, którego ty jesteś kuratorem i o któ-

rym nie wiedziała; my znów, jak powiedziałeś, nie mamy nic, a przecież uchodzimy za bogatych: co to znaczy? Przez Boga żywego! ojciec, wytłómacz mi.

Radca (z goryczą).

Pytasz w taki sposób, jakgdybys powątpiewała o mojej uczciwości.

Kamilla (gorączkowo).

O! nie, ale wyjaśnij mi, jak to jest? Boże! może to co takiego, co wzbudza o nas podejrzenia; może to on dlatego chce mnie porzucić!

Radca.

Więc wyobrażasz sobie, że mamy na sumieniu jakąś krzywdę Zosi? Własna córka oskarża ojca! nie wysłuchawszy jego usprawiedliwienia.

Kamilla.

O słucham, słucham!

Radca.

Najpierw, powiedz mi: czyś widziała kiedy, abym robił jakąkolwiek różnicę pomiędzy tobą a Zosią?

Kamilla.

Nie! to prawda, kochałeś ją.

Radca.

E! jak kochałem! nie dałabys nawet wiary—wyjątkowo! Tworzyłem projekta dla jej szczęścia, rozgrzewałem przy moich piersiach, mając nadzieję, że rozniecę w jej sercu ogień rodzinnych uczuć; ale gdzie tam! groch na ścianę.

Kamilla.

Cóż przecie ma jej ojciec do zarzucenia?

Radca.

Jeżeli miała jakieś podejrzenia, to mogła była spytać się otwarcie; byłbym ją objaśnił, chociaż nie miałem obowiązku, bo dopiero w dniu pełnoletności powinienem był złożyć jej rachunki z opieki, wraz z majątkiem; ale ona wolała poza moimi plecami poszukać sobie inengo opiekuna... i znalazła—kogo? p. Karola, piękny opiekun! Ładnieby ją wykiepował!

Kamilla.

Ależ, ojciec, Karol jest najzaciejszy człowiek i kochają się z Zosią.

Radca (ironicznie).

Więc i tobie się zwierzał?

Kamilla.

Nie robią z tego wcale tajemnicy.

Radca.

Wyjawszy przedemną! Ale czy ci powiedzieli, o co im właściwie chodziło? Zosia... no, Zosi-bo się tyle nie dziwię, obalamucił ją... chociaż ta nieufność do mnie! brak wiary w wuja, który ją tak kochał! zresztą, mniejsza o to, ofiaruję to Panu Bogu, ale ten panicz! łowca posagowy! jakich to on nizek, podstępnych środków musiał używać, żeby wysledzić cały stan rzeczy! Ale doczekał nie doprowadzi brudna żądza mamony!.. o! niedoczekanie twoje, żebyś z tego zbierał owoce!

Kamilla.

Ale jakż jest ten stan rzeczy? powiedz mi, ojczulku, proszę cię (ciągnie go w rękę).

Radca (p. c.).

Ostatnie słowa twojej umierającej matki, wymówione do mnie, były:—Pamiętaj, że teraz masz

dwie córki!—Te słowa były dla mnie ewangelią, tak! to też kochałem was jednakowo; ale dlatego samego bolało mnie, że położenie mojej rodzonej córki będzie kiedyś tak dalece niższem od tego, jakie czeka przybraną; ta myśl była moją zmorą, znając moją naturę uczuciową, pojmujesz, co ucierpiałem. Kiedyś, myślałem sobie, Zosia jako dziewczka znacznej fortuny, znajdzie bogatego męża, gdy moje dziecko, moja najdroższa Kamilla, jako córka ubogiego urzędnika sądowego, skromnego radcy....

Kamilla (niecierpliwie).

Ależ, mój ojciec, czyż tylko od majątku szczęście zależy?

Radca.

To są deklamacje — pozwól, nie przerywaj mi. Co się zemną działo: nie wyobrazisz sobie. Głowa mi pękała pod naciskiem myśli, projektów, których niepraktyczność wkrótce poznawałem. Odchorowałem to, będąc zanadto uczciwym, abym uległ pokusom, których miałem tysiące. Nareszcie, zdawało mi się, że znalazłem pośrednią drogę: niemogąc stworzyć ci świetnego stanowiska majątkowego, chciałem przynajmniej otoczyć cię jego pozorami. Rachowałem, że nim o tem wszystkim ludzie się dowiedzą, trafi ci się jakaś świetna partya...

Kamilla (z wyrzutem).

Ojciec! ojciec!

Radca.

Pozwól, niech dokończę: przekonasz się, że nie masz powodu przerażać się. Otóż w tym celu wziąłem dymissyą, za pieniądze pożyczone z wielkim trudem na zadatek, kupiłem ten majątek o mil kilkadziesiąt od okolicy, w której zamieszkiwaaliśmy.

Kamilla (prędko).

Więc ten majątek jest twój!

Radca.

Mój, ale ulokowałem na nim, za przyzwoleniem rady familijnej, cały kapitał Zosi, który wynosi niemal tyle, co wartość wsi; istotnie mojem jest tylko to, co mogę zyskać na podniesieniu się wartości ziemi, bo, naturalnie, gdy przyjdzie jej oddać, co będzie miała prawo żądać za kilka miesięcy, będę musiał sprzedać.

Kamilla.

Ah, sprzedaj ojciec! sprzedaj, oddaj, co jej się należy; na kolanach cię błagam.

Radca (podnosi ją, na pół z płaczem).

Całą moją nadzieją było, że pójdziesz za Floryana, tymczasem....

Kamilla.

O! teraz twoje życzenie się ziści; ufam w niego, a chociaż nie będziemy mieli majątku, Bóg nas nie opuści. Gdyby ojczulek był słyszał, z jakim zapalem mówił, że chce oddać się pracy!

Radca.

Dziecko moje biedne, i ty w to wierzysz.

Kamilla (z wymówką).

O! ojciec!

Radca.

Głowę daję, że ta niespodziewana wiadomość o wydziedziczeniu jest zręcznie ukutą bajeczką, w celu wycofania się z honorem.

Kamilla.

Boże! jak mnie ojciec odbiera wszystkie złudzenia!

Radca.

Kamilciu, cóżem ja temu winien, że mam takie przekonanie?

Kamilla (płacze).

Gdybym straciła tę wiarę, jaką mam w niego jeszcze, nie przeżyłabym tego chyba. Ah! Boże! tyle ciosów! (ze spazmatycznym łkaniem rzuca się na krzesło, wsparta łokciem o stół).

Radca.

Kamilciu!

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 10 Sierpnia 1883 r.

Plamy na słońcu. — Trzęsienie ziemi i katastrofa na Ischii. — Choroba hr. Chamborda — Żywa sprawa. — Exportacja Ludwika Michela do centralnego więzienia w Clermont. — Choroba p. Z. li; tysiączne wydania jego powieści i jego popularność. — Jeszcze kilka rysów pozytywisty. — Wiktoryn Sardou, jego proces z Uchardem, broszura *Moje plagiaty*. — Nowa książka p. Ben-Loewa *Prawa historii*. — Ciekawe i nowe poglądy na filozofią historii. — Podział przedmiotu, konkluzja autora. — Odwrotna strona: religia i wiara. — Książka p. Lasserre'a *Les Episodes miraculeux de Lourdes*. — Epilog procesu Ucharda z Sardou; wyrok trybunału. — Najnowsze wiadomości o autorze *Ułany*.

(Dokończenie).

Zpoza kulisów teatralnych przejdźmy teraz na poważniejszą scenę literacką. Jako prawdziwą ciekawość w tym względzie polecamy uwagę czytelników naszych, trochę dziwną, ale pełną wielkich zalet, książkę. Autor jej, z rodu Izraelita, z pochodzenia Niemiec, naturalizowany Francuz, a z profesji, były nauczyciel języka greckiego i literatury, dziekan fakultetu literackiego w Dijon—schodząc z ubitej drogi piśmiennictwa jakby oficjalnego napisał dzieło, którego wyższe i znakomite poglądy świadczą nietylko o obszernej nauce autora, ale wykazują w nim głęboko myślącego pisarza.

Książka ta ma za tytuł: *Prawa historii* (Les lois de l'histoire) przez Ludwika Ben-Loewa. We wstępie zaraz chodziło, mającego oznaczyć prawa, a raczej zasady historii, autor tłumaczy nam to ważne zadanie, w następnych słowach:

„Jeżeli świat jest stary, historia jest młoda. Kiedy się bowiem posuniemy wstecz w przeszłość, do setnej generacji tylko, nie znajdujemy już w niej dowodów dostatecznej pewności. W dwusetnej generacji, wszelki ślad tradycji znika— a dalej nie jest to już wcale historia, lecz tylko nierozwiązane jeszcze zagadnienie *historii naturalnej* naszej rasy. A w tym przeciągu czasu, stosunkowo krótkim, jakąż to niezmierną drogę przebiegł rodzaj ludzki! Ileż to on zmian, ile rewolucji dopełnił; cóż to za dziwne przekształcenie przeszłości! Od sześciu tysięcy lat tożsamo słońce oświeca kulę naszą; na horyzoncie przyswiewają nam zawsze te same konstellacje; sam tylko człowiek, na tej widocznie nieruchomej niezmienniej scenie, przedstawia widowisko swej bezustannej zmienności. Czyż-by to ta zmienność historii, czy może jej względna wczesność, była powodem, iż dotąd nie znaleziono jeszcze, nie odkryto jej praw? A może jest to skutkiem jedynie tego, że gdy znajomość *siebie samego* (*nosce te ipsum*) jest najtrudniejszą ze wszystkich wiadomości ludzkich; człowiek, którego geniusz próbował, nie bez skutku, rozmierzyć niebo, niedosyć jeszcze wszedł w samego siebie, aby znaleźć formułkę, mogącą obliczyć wiernie, jego własną, wewnętrzną siłę i ruch ewolucyjny, którego ta siła winna jest dopełnić.

Podział historii—powiada autor—na trzy wielkie peryody: *Starożytności*, *Wieków Średnich* i *Nowożytnych*, jest sprawiedliwy zapewne; ale to prawo jest czasowe tylko; zbyt ograniczone, nie odpowiada wcale niewzruszonemu, odwiecznemu pra-

wu. Pisarze Grecy położyli podwaliny tego gmachu historii, a wśród nich Tycydides świeci i wiecznie świecić będzie niezrównanym blaskiem. Pisarze łacińscy—Tytus Liwiusz, a szczególnie Tacyt, kronikarze średniowieczni a następnie Bossuet, Vico, Herder, Ballanche, Hegel i Edward Gans, dorzucili każdy z kolei swój kamień do wspaniałego gmachu, który stanie się kiedyś przybytkiem *Filozofii historii*; ale dziś, wolno jest utrzymywać jeszcze, że żaden z nich nie dostrzegł jasno i czysto, głównych zarysów całości olbrzymiego pomnika. Nie mówiąc już o przeszłości, dowiedzioną jest już rzeczą, że dwaj ostatni pisarze, to jest Hegel i Gans, starali się nałamywać wypadki do własnych życzeń i przyrządzali je do podtrzymania własnych pomysłów o historii powziętych *a priori*. „Można utrzymywać zapewne—dodaje p. Ben-Loew, że każdy naród jest jakby jakie pojedyncze historyczne indywidualum, żyjące własnym, odrębnym swem życiem; tworząc własny swój zawód, i spełniające własne, swoje posłannictwo; ale to nie dowodzi bynajmniej, że ludy wznoszą się i rozwijają według geometrycznych zarysów pewnego, danego systematu i że ich losy są wypadkiem wyznaczonych naprzód kolej, wskutek roli, jaką odegrały w historii poprzednie plemiona, albo wskutek przedwiecznej myśli, poczętej przez siebie samą, od początku wieczności. Są zapewne wypadki, w których życie ludzkości zdaje się dosięgać samego szczytu rozwoju i doskonałości. Ale rodzaj ludzki, postawiony w znanych nam warunkach bytu, przeszedłby niechybnie, można to twierdzić z pewnością, te same przemiany i modyfikacje, gdyby nawet powierzchnia ziemi uległa innym zupełnie przemianom fizycznym, niżeli te, o których twierdzą tradycja i nauka.

Następnie autor wygłasza niezmiernie śmiałą zasadę, mającą posłużyć za punkt wyjścia i za nie przewodniczą, w wykładzie jego własnego systematu. „Ludzkość—powiada—jest to ogół ludzi zamieszkujących naszą kulę: można więc było przypuszczać, z pewnem podobieństwem do prawdy, że rasy mogły mieć podobne losy, do losów odrębnych jestestw—to jest: że przechodziły wiek dzieciństwa, młodości, lat dojrzałych, a nakoniec starości. Człowiek, różny w tem od zwierząt, których wszystkie następujące po sobie generacje, podobne są sobie. Człowiek przekazuje swoim następcom owoc prac swoich i nabyte doświadczenie. Postęp więc tworzy się w ten sposób, przez wspólny, trwały udział w tej spuściźnie duchowej wszystkich członków jednej rodziny i jednego pokolenia...

„Ten wynik, dający się łatwo sprawdzić na narodach, a nawet na całych odrębnych rasach ludzkich, tworzących pewne indywidualności, okazuje się mniej wyraźnie, jeżeli oko historyka obejmuje ogromne przestrzory ziemi, lub cały obszar ludzkości. Historyk-filozof spostrzega wówczas odrębne, równoległe sobie cywilizacyjne postępy; postępy współczesne sobie a przecież bardzo różne; postępy nakoniec takie, jak owe idące po sobie bez przerwy, w przeciągu czasu, jakich 4,000 lat, stanowiące jakby całkiem przeżyta posiadłość—i tak się dochodzi aż do teraźniejszej chwili, i znajduje się wobec fenomenów szczególnych, gdzie mu się następuje wymiar zupełny, wszelkich stopni cywilizacji, zaczawszy od stanu dzikości, aż do najwykwintniejszej oświaty z całym rozkwitem: sztuk, piśmiennictwa, nauk, przemysłu i handlu...

„W tym obrazie, podobnym bardziej do wiecznie płynącej rzeki, której fale podobne sobie, nystępują wciąż, bez przerwy, jedno po drugim niż do wzrostu i rozwoju jakiegoś wyłącznego organizmu, mającego swój początek, swój zupełny rozkwit i wreszcie upadek. Ludzkość przedstawia się nam raczej, jako las tych olbrzymich gębczastych zarośli morskich (Madrepora), które, rozwijając się coraz i coraz, wznoszą się jedna na drugiej i powtarzając się bez końca — niżeli jako jedno olbrzymie ciało, którego-by członkami tylko miały być ludy i rasy.

„Jednem słowem: szukajmy przeświadczenia, nie mogąc ująć dotykalnie postępu ogółu, a szczególnie, prawa tego postępu. Zdaje się, jakgdyby wśród tej niezmierniej różnitości pokoleń, odna-

wiających się coraz, występujących coraz bardziej na pierwszy plan sceny historycznej—to co się najwyraźniej dostrzega, jest to jakby jakieś olbrzymie tło—wieczystej młodości ludzkiej...”

Takie są poglądy p. Ben-Loewa na ludzkość i jej dziwnie mieniący się obraz—poglądy oryginalne i świadczące o głębokości pomysłów. I należy przyznać, iż autor, wychodząc z tego założenia, że w postępie indywidualum i rasy należy szukać tajemnicy praw rządzących postępowaniem ludzkości—utrzymuje zasadę gruntowną i wielce racjonalną. Dodajmy do tego, że p. Ben-Loew, przysposobiony należycie do tak ważnej pracy, dał nam w niej dowód wielkich umysłowych zdolności i bystrego, szerokiego poglądu z zupełną bezstronnością prawdziwego historyka.

Całe to ważne dzieło możemy streścić do następnych podziałów: *Przejścia i zmiany ideatu w historii ludzkości, odpowiadają:*

1-o) Pierwotnym cyklem i najwcześniejszym rasom na ziemi, (od 4200 do 1200 r. po Chr.), których znamieniem jest, uporządkowanie się w dziedzinie siły; 2-o) Cyklowi *Ideatu piękna* (od 1200 przed Chr., do 300 r. po Chr.), który się dopełnia peryodem przejściowym, od *piękna do dobra* (od 300 przed Chr. do 300 po Chr.); 3-o) Cyklowi *Ideatu dobra* (od 300 po Chr. do 1800 r.) to jest od ogłoszenia Chrystyanizmu jako Religii stanu, aż do Wielkiej Rewolucji Francuskiej, i dopełnionym przechodnim peryodem, od *Dobra do Prawdy*, (od 1200 do 180 r.); i 4-o) nakoniec, Cyklowi *Ideatu Prawdy*, na którego dziś progu стоимy.

„Zaledwieśmy przekroczyli połowę pierwszego 150-u lat etapu,—powiada p. Ben-Loew—Czwartego Cyklu a już widzimy zapewnioną przyszłość wolności i demokracji; pozostaje nam jeszcze urządzić i ustalić oświecone stany naszej Europy; umoralizować i oświecić proletaryat; urządzić obywatelską kolonizację; przeniknąć do barbarzyńskich krajów i uporządkować wszystko na kuli ziemskiej“.

Zadanie to jest wspaniałe, zaprawdę. Można niepodzielać wszystkich przypuszczeń autora; można się z nim różnić co do przedmiotów zadowolenia dla ducha i serca; można odrzucić nawet te arbitralne podziały życia ludzkości na cztery cykle—ale przyznać należy, że samo już zapatrywanie się w ten sposób na historię ludzkości jest dziełem potężnego myśliciela i znakomitego pisarza — i dlatego wciągnąłem wiadomość o tem do mojej kroniki.

Tymczasem odwróćmy kartkę, a znajdziemy, jeżeli nie zupełną sprzeczność zapatrywania się na te objawy moralnej ewolucji ludzkości, ku lepszemu celom, to przynajmniej inny punkt wyjścia, i inną drogę, po której iść jej należy...

A że tu wszystko musi być naukową sprzecznością i wyróżnieniem gwałtownem: więc oto wśród zwątpienia i oziębłości powszechnej dla sprawy wiary — znajduje się człowiek, którego talent i dążności, przypominają najświetniejsze czasy, takich obrońców wiary, jakimi byli: Lacordaire, Montalembert i Lamennais w początku.

P. Henryk Lasserre, adwokat i polemista, od lat najmłodszych, od szkolnych ławek, był to człowiek wierzący głęboko, szczerze—człowiek zasad twardych, człowiek własnego autoramentu, jak tu nazywają (autoritare). Pierwszym jego dziełem była jaskrawo-polityczna broszura. Było to w chwili Zamachu Grudniowego Stanu Cesarstwa Lasserre był wówczas studentem jeszcze—aby stanąć w obronie tej sprawy otwarcie z odkrytą twarzą, potrzeba było tak wielkiej i zimnej odwagi, że już tylko sama bezcelność zimniejsza od niej być mogła. Otóż Lasserre zdobył się na taką odwagę i wydał broszurę pod tytułem: *L'Opinion et le Coup d'Etat*. Była to namiętna, paradoxalna a płytka apologia czynu dnia 2 Grudnia — narobiła więc niemałego hałasu, szczególnie wśród uniwersyteckiej młodzieży, do której należał autor i wśród której miał tylko przyjaciół i dobrych kolegów.

Był to krok śmiały, nawet zuchwały—ale ponieważ prawość i racjonalność autora, była dobrze znana wszystkim, rzecz więc pozostała, jako excentryczny wybrzek oryginalności zacnego człowieka. W kilka dni nowy cesarz powołał do siebie młodego polemistę; ofiarował mu miejsce i urząd

Lasserre podziękował — rzecz rzadka, i prawie niesłychana we Francji...

Młodzieniec nie śpieszył się wcale wcisnąć na wielką i świetną scenę honorów i sławy—pozostał w cieniu—ale pozostał entuzjastą, i głęboko wierzącym katolikiem. Ten stan, natchnął mu już w r. 1869 myśl napisania znakomitej książki pod tytułem: *Najświętsza Panna z Lourdes*. Uderzony powagą Świętego Przybytku Cudownej Matki Bożkiej—porwany wysokim przykładem pobożności, tysiąca pielgrzymów—Lasserre napisał książkę, która może służyć za modłę, głębokiej pobożności.

Dziś wyszła na świat nowa książka tegoż autora: *Cudowne wypadki w Lourdes* (Les episodes miraculeux de Lourdes). Jest to hołd czystego i prostego serca wiernego katolika; w pokorze i na kolanach pisane wyznanie wiary, w to, co jest jedyną i najlepszą pociechą, zbolalej duszy. Nie znam nic, co by świeżością i prostotą a niezmiernym wdziękiem, mogło się przyrównać do tej książki. Jeden z poważnych a wolnomyślnych krytyków tutejszych, tak się odezwał o tej książce Lasserre'a: „Książka ta jest napisana z takim uczuciem niewiności, z wyrazem tak uderzającej prawdy, że jej czytanie, mnie nawet samego przeszło do głębi“!

NB. Proces Ucharda przeciwko Sardou skończył się, jak można było przewidzieć, zupełną przegraną pierwszego. Trybunał zawyrokował, że, „ponieważ zarzut o kontrefakcję uczyniony przez Mario Ucharda Wiktoryynowi Sardou, nie został niczem usprawiedliwiony, a przeto jego żądanie nie może być przez sąd przyjęte—

Dla tych przyczyn:

„Trybunał stanowi, że żądanie Ucharda nie jest na niczem oparte, i pretensją jego odrzuca, zakazując go na zapłatę kosztów procesu.“

DROBNE LISTKI.

Oryginalne listy księdza Stanisława Konarskiego dostały się w tych czasach Krakowowi, nadesłane tam z Włoch, jako dar uczyniony przez Pijarów florenckich, rektorowi Pijarów krakowskich księdzu Słotwińskiemu, za zasługi jego dla zgromadzenia, przez odrodzenie kolegium krakowskiego i przywróceniu mu dawniejszego znaczenia. Biblioteka kolegium krakowskiego posiada bardzo cenne dzieła i zbiory naukowe, oraz, w osobnym dziale, ciekawy zbiór oper polskich, mszy śpiewanych na głosy, oraz pieśni polskich, litewskich i rusińskich, wszystko zebrane i spisane przez Wojciecha Sowińskiego. Muzeum zgromadziło się też wieloma nowymi okazami z mineralogii i botaniki. Do ciekawych przedmiotów z tego działu należą dwie księgi, oprawne w drzewo z Nowej Zelandyi, a zawierające rzadki zbiór paproci leśnych. Wśród zbiorów zoologicznych, zwraca uwagę skielec przedpotopowego ptaka Moa, zestawiony naukowo przez profesora Wierzejskiego. Godziłoby się, aby rozmaite zabytki dawnych zbiorów i bibliotek pijarskich, dziś rozproszone i pozostające w rękach prywatnych, były do kolegium krakowskiego nadsyłane. Byłaby to legalna restytucja dobra publicznego.

Włos kobiety, to oryginalny tytuł ostatniej powieści Yokay'a, której tematu dostarczyły dzieje nasze. Okres czasu za tło tu służący, obejmuje panowanie czterech królów, bo rzecz otwiera się małżeństwem Maryi Ludwicy z Władysławem IV, a kończy zwycięstwem Sobieskiego pod Wiedniem, ale historia właściwa jest szkicowana pobieżnie, grubemi, urywanymi rysami, wielkie wypadki dziejowe pozostają wtyle, na planie ostatnim i nic z okrutnej dramatyczności wojen kozackich, szwedzkich, tureckich nie dostaje się do książki, która pisana jest w całości na podstawie anegdot, anegdot o Maryi Ludwice i jej dwóch mężach, anegdot o Maryi Kazimierze i Janie III-cim. Ze przytem Yokay nie zna obyczajów narodu, o którym pisze, zatem mimo jego sympatii do nas, brzmi wciąż ton fałszywy, niemiły dla polskiego czytelnika.

nika, mieszają się między wypadki historyczne legendy dziwaczne, niemożliwe w społeczeństwie naszym, a w dodatku, co jest rzeczą szczególną u tak utalentowanego jak Yokay pisarza, nie ma tu nic jego zwykłych a wspaniałych rzutów fantazy, jego werwy pysznej i porywających obrazów uczucia. Może grunt obcy, po którym stąpać tu musi, jest tego przyczyną: widać, że w dzieje nasze nie dość się zagłębił, nie dość się w nie wczytał, aby mógł intuicyjnie odtwarzać ludzi i dawać życie wypadkom, z kronik poczerpanym; martwe są, a gdzie trochę ruchu, tam zaraz barwy i światło nienaturalne. Jeden tylko błąd: fałszywe i od wszystkich historyków naszych odmienne, pojęcie charakteru Maryi Kazimiery, można Yokay'owi darować, bo gruntuje je na szlachetnej zasadzie psychologicznej: Sobieski, to bohater; bezinteresownie, dla idei jedynie, idzie walczyć pod Wiednią; bezintessownie, rycersko, naraża osobę własną i młodego swego syna za sobą wiedzie, zatem człowiek ten wielkiego serca nie mógł darzyć miłością tak wielką, jak poświadczają dzieje, kobiety małodusznej i niskiego charakteru. Więc też Marya Kazimiera wyrasta u Yokay'a a istotę też bohaterską, z patryotycznym zapalem w sercu i nigdzie już potem nie widzi ujemnych stron jej wpływu na męża, jakkolwiek nie utrzymując się następnie na stanowisku tych poglądów, wykazuje, że obraza uczuć osobistych przeżyła szale, na której ważyły się wtedy losy Polski. Jan III, dotknięty przykro przez Francją, odwraca się od jej polityki i przechyla ku Austrii; pominięta też jest wcale ta dramatyczna scena z nuncyuszem papieżkim i posłem cesarskim, Wilczkiem, a która pod piórem Yokay'a mogłaby była wytworzyć obraz wspaniały i dowodzący razem, że jednak wielki rzut szlachetnego uczucia w sercu króla, zdecydował o tem ostatecznie, aby chorągiew jego powiewała pod Wiedniem. Nic tu tak pisanem, nie tak kreślone nie jest, nawet ostatnie rozdziały, malujące sam akt odsieczy, występują chłodno, sucho—nie po Yokay'owski! Autor węgierski nie może się rozgrzać i serdecznego zapалу w pióro swoje przelać, bo w uratowaniu Wiednia widzi przyczynę zguby swego i naszego narodu. Mimo to jednak przyznaje Sobieskiemu i Polsce zasługę ogromnego znaczenia dla ludzkości i na czyn spełniony nad Dunajem patrzy, jako na wielki wypadek dziejowy, który rozstrzygnął o losach Europy, o kierunku jej historycznego i cywilizacyjnego rozwoju. Kilkakrotnie też to powtarza, że Jan III, nie Wiedeń, nie Rakuzkie Cesarstwo wyrwał zpod władzy Osmanów, ale uratował chrześcijaństwo. „Tylko francuskie gazety pisały wtedy, o tem zwycięztwie, że to nie miecz Sobieskiego, ale modły Ojca Ś-go wywalczyły je u Wszechmocnego Boga“, pisze, myśląc zapewne o dzisiejszej radzie miejskiej Wiednia i w dalszym ciągu opisuje przybycie Sobieskiego do Wiednia, kończąc książkę temi słowy: „I za to wszystko cesarz austriacki nie powiedział Królowi Polskiemu, choćby tylko—dziękuję“.

Biorąc to wszystko razem, możnaby prawie przypuścić, że to tłumacz niemiecki tendencyjnie obrał książkę Yokay'a z blasków i stylu zwykłej mu barwności, że wspaniałości obrazów i szerokiego ich malownia, ale tłumacz ten, Ludwik Wechsler, umieścił na stronicy pierwszej napis: „Jedyny upoważniony przez autora przekład“, więc wniosek ten upada już przez to w zupełności i tylko ta powieść Yokay'a może się zaliczyć do dzieł jego niższej wartości, do dzieł jego nieudanych; każdy, najgenialniejszy pisarz, ma między utworami swoje rzeczy słabsze, przypadające na chwile zaćmienia twórczej jego siły i fantazyi.

Książka obejmuje tom jeden zwykłego średniego formatu i liczy stron 227; rzecz samą poprzedza prolog, który powieści nietyko tytuł ale i nastrój daje. Prolog ten, rozgrywający się 1587 r.,

przedstawia noc w wilią św. Mechtyldy i trapią nią paryzkiego klasztoru Benedyktynów na Montmatre. Klasztor ten posiadał przywilej nadany mu przez królową z rodu Medyceuszów, aby zwłoki straconych za zbrodnie stanu składane były w pogrzebowej jego kaplicy, gdzie lud, odwiedzający nieboszczyków, składał na odkupienie ich dusz ofiary, bogacące klasztor. Ale we wspomnianą noc 1587 r. stała się tam rzecz niesłychana, rzecz straszna: halabardnik postawiony na straży u drzwi kaplicy, gdzie leżały na katafalku dwa trupy ściętych za zbrodnią czarów i mieszań się w spiski hugonockie panów francuzkich: hrabiego de la Mole i kawalera de Coconas, osiwił od wieczora do rana, słyszał bowiem jak we wnętrzu zamkniętej kaplicy, dwóch szatanów, zjawionych pod postacią niewieści, o północy samej, poczęło płakać, narzekać, poczęło wyrwać sobie trupów. Halabardnik, chodząc koło zakratowanych okien, przez które lud miał prawo zaglądać do wnętrza, widział to i słyszał.—To twój, to mój—wołały szatanice i chwytaly nieboszczyków, całowały usta i oczy głów skrwawionych, przyciskały je sobie do piersi, przemawiając do nich wyrazami najtkliwszych uczuć miłości, aż halabardnik, przejęty zgrozą, podniósł nagle głos i krzyknął na duchy nieczyste:—Zginić! przepadnijcie, przed mocą imienia Bożego! — zawołał, uderzając halabardą w okno kaplicy, lecz za to, nazajutrz rano, gdy przyszedł go z posterunku luzować, spostrzeżono, że miał włosy białe jak u starca.

W kaplicy zaś brakowało głowy jednej, głowy kawalera de Coconas, co było dowodem, że żołnierz nie marzył w gorączce przestrachu. Szatan przyszedł po ulubieńców swoich, ale ich zestraszyło zaklęcie w imię Boże i porwały tylko głowę jednego ze straconych. W klasztorze odbywało się przez sześć tygodni nabożeństwo za jego duszę, ale na dworze królewskim mówiono co innego: mówiono, że białemi postaciami w czarnych kapuzach, widzianemi przez halabardnika, była to królowa Nawarry, siostra, i księżna de Nevers, bratanka królewska. Dostały się one do kaplicy drogą tajemną, przez klasztor, aby tam pożegnać straconych na szafocie kochanków swoich. Małgorzata de Valois uciekła od trupa hrabiego de la Mole, zestraszona głosem żołnierza, ale księżna de Clèves et Nevers była silniejszego ducha, gorętszego serca kobietą i uniosła głowę ukochanego, aby ją później zabalsamować własnymi rękami, według wskazówek Włocha Ruggieri i chowała ją w sypialni swojej, w szkatule jaspisowej. Wtedy, wśród ciemności nocy, nie mogły one poznać odrazu zwłok kochanków, macając jedynie naoslep i tylko księżna poznała swojego po pierścionku z włosów, jaki nosił na małym palcu. Modne były wówczas pierścionki takie na dworze francuzkim: robiono je najpierw z włosia końskiego z cyframi damy lub kawalera myśli swoich, ale później zastąpiono to włosami miłej osoby, najczęściej ofiarującej pierścione takie, będący niby obrączką ślubu miłości. Początek w tej zmianie mody uczyniła księżna de Nevers na korzyść kawalera de Coconas, potomka starego rodu piemontkiej szlachty, którego kochała miłością namiętną: rudowłosa, miała włosy niezmiernie długie i z jednego zrobiła nawijając obrączkę całą. Włos był dość mocny, aby nie pęknąć przez lata całe na palcu ukochanego—tak mocny, jak pokazała się potem jej miłość, jej gorące przywiązanie do niego. Otóż ta księżna de Clèves et Nevers była matką Maryi Ludwiki Gonzaga, a wedle genealogii, jaką Yokay wprowadził do powieści swojej, babką Maryi Kazimiery Sobieskiej. Yokay, prolog wyżej przytoczony wprowadził do książki swojej dlatego, aby—jak pisze—wykazać, jaka to gorąca, silnie do serca bijąca była krew, która płynęła w żyłach kobiet tego rodu. Miłość ich, niby włos

ciemki, owijała się też wkoło męskiego serca i nie pękała. Ze włos taki, włos z czarnej kosy Maryi Kazimiery, którą Yokay czyni rudowłosą, nie pękł w danej chwili—świat poszedł innym, niż się zanosiło, torem. „Wisiało to na tym włosie jednym aby się zmieniła w zupełności karta Europy; że nie pękł, hrabia węgierski (Tekely) nie ufundował nowej dynastii królów; sultan turecki nie przesuwał stolicy ze Stambułu do Wiednia, a Polska nie stała się panią Północy-Wschodu“, pisze autor węgierski, którego książka zawiera mimoto ledwo kilka kart wyższej piękności, które poświęca Zamoyskiemu, jego zaślubinom z Maryą Kazimiłą i obronie Zamościa (Zamojszcze) przeciw Szwedom, gdy król i królowa uciekli już poza granice kraju. Takich błędów w nazwach szczególnie osób, jest w książce jego mnóstwo, i to błędów, których się dopuszczać żadnemu już poważnemu pisarzowi nie wolno, Szybieszki, Wiesznowieczki, Jablonoski, jest Michał Koribut, inaczej nazywany znowu Maxymilianem Koributem, królem Maxymilianem. Radziejowski wyszedł jeszcze dobrze choć mu się dostało imię Jaromira, a legenda o jego wygnanej z domu żonie fałszywie i przykro uduktyzowaną została. Istnieje też jakiś senator Jaromir Kronyeczowski, Samuel Chrzanowski jest Chrazanowskim, a żonie jego Helena na imię. Św. Stanisław Kostka, jest „Kolski“, Siciński — „Szczyński“, Marya Ludwika otrzymuje przy ślubie imię Jadwigi wedle obyczaju „na dworach Północnych Słowian, aby królowe z obcych narodów dostawały przy ślubie imię nowe.“

Mimo to wszystko, nie można się na Yokaya bardzo gniewać, tak nam jest przyjacielem serdecznym. Mężów naszych stawia w wyniosłej rycerskości, w mężstwie dzielnym i uczuciach gorącego patryotyzmu bardzo wysoko, a kobietę odziewa we wszystkie najpiękniejsze cnoty ludzkości i jest ona u niego dzielna, pełną zapалу i poświęcenia obywatelskiego a razem wdzięczną, słodką, kochającą, jest „Świętą w Niebie a wierzącą na ziemi“ (stronnica 127, wiersz 7).

I świętych naszych umie Yokay kochać i rozumieć. O Św. Stanisławie Biskupie pisze, że nie jest on nam świętym patronem na wysokościach jedynie, ale często na ziemi skuteczne cuda czyni. „Gdy przychodzi chwila ciężka potrzeby i niebezpieczeństwa a wszystkie ziemskie źródła ratunku wyczerpanemi już zostały, nakazuje on natychmiast komu należy, aby rozwarły się zamki jego skarbcu i to, co mu tem miłość ludu jako dary zniosła, zostaje mu zwróconem w całości. W krytycznym momencie zwracano się też doń zawsze i nie odmawiał on nigdy pomocy swojej. Jest też to święty prawdziwy i zasługiwał on na to zawsze obcy królowie i panie największe szły do jego kościołów boso, po kamienistej i tumanach kurzu wznoszącej drodze (str. 106).

Powieść ta potrzebowałaby jednak w przekładzie na nasz język nietyko usunięcia błędów mniejszych i tych większych, o których pisać tu byłoby za długo, ale i bardzo wielu przypisków, co razem dawałoby przekładowi pracę nie mogącą się opłacić mierną bardzo wartością literacką dzieła. Inaczej przecież *Włos kobiety* nie mógłby wejść do literatury naszej.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tyt.: *Orli lot*.

TREŚĆ. Tradycja i postępek w życiu naszych kobiet, przez Wandę Podgóorską. — Polka i Amerykanka, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Uczuciowi, komedia, (dalszy ciąg), przez Józefa Blizińskiego. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Августа 1883 года.